

Wszystkie pory roku



Pierwsza zmiana odzienia. Foto: Krzysztof Tęcza

W sobotę 15 marca 2014 roku postanowiłem wybrać się w góry. Dawno nie byłem na grzbiecie Karkonoszy. Patrząc rano z okien mojego domu widzę, że górne partie gór wciąż pokryte są białą śnieżną kołderką. Nie wydaje się ona jednak zbyt gruba. Niżej jednak jest już normalnie. Pozwala to sądzić, że nie będzie specjalnych problemów z dotarciem jak najwyżej. Mając na uwadze bezpieczeństwo postanowiłem ruszyć w drogę grupą. Dlatego dałem znać innym, że w Budnikach organizowana jest impreza *Powitania słońca*, i jeśli ktoś ma chęć wzięcia w niej udziału zapraszam by dołączyć się do grupy wychodzącej z Kowar.

Od dłuższego czasu panuje wspaniała letnia pogoda. Nie trzeba zatem nikogo namawiać na spacer. Niestety, właśnie w sobotę rano, nastąpiła raptowna zmiana pogody. Najpierw pojawiła się mżawka, później delikatny deszczyk. Do tego przyłączył się wiatr. Wszystko to razem spowodowało raptowne ochłodzenie. Takie warunki pogodowe skutecznie odstraszyły osoby wcześniej deklarujące swoją chęć wyjścia w góry. Od rana odbierałem telefony z informacją o rezygnacji z udziału w sobotniej wycieczce. Oczywiście ja nie mogłem sobie pozwolić by nie przyjść na umówione spotkanie. Dlatego przed godziną dziewiątą dotarłem do miejsca zbiórki. Po drodze mogłem zerknąć na przeszklony szyb zewnętrznej windy jaki pojawił się przy budynku ośrodka *Przedwiośnie*. To właśnie przed tym obiektem znajdował się kiedyś przystanek kolejowy Kowary Zdrój.

Okazało się, że poza parą, która miała nas poprowadzić nikogo nie było. Dlatego też postanowiliśmy zaczekać jeszcze kilka minut. I dobrze, bo za chwilę dotarli do nas trzy panie. Teraz mogliśmy już ruszyć w trasę. Początkowo szybkim krokiem pokonaliśmy pierwsze wzniesienie by dalej nieco spokojniej przejść krótkim odcinkiem *Leśnej Ścieżki Przyrodniczo-Edukacyjnej „Jedlinki”* i dotrzeć do leśniczówki. Tam skończyła się „zabawa”. Teraz musieliśmy pokonać, co prawda niezbyt długi odcinek drogi, ale za to bardzo stromy, a do tego kamienisty. Trzeba było uważać jak się stawia stopy by nie skrócić sobie nogi.

Po chwili spotkała nas miła niespodzianka. Deszcz przestał siąpić. Ze względu na to, że zaczęliśmy się pocić, przystanęliśmy i nieco się porozbieraliśmy. Pochowaliśmy do plecaków polary i sweterki.



Odpoczynek w Budnikach. Foto: Krzysztof Tęcza



Gotowanie kwaśnicy. Foto: Krzysztof Tęcza

Pozostawiliśmy na sobie kurtki przeciwdeszczowe. Jak się za chwilę okazało słusznie uczyniliśmy, gdyż deszczyk co jakiś czas wracał. Nie było jednak źle. Żółtym szlakiem dotarliśmy do ujęcia wody na potoku Malina. Teraz pozostało nam już tylko podejść wzdłuż strumyka i będziemy na miejscu. Oczywiście kawałek drogi przed nami to niezłe wyzwanie. Tutaj dopiero zaczyna się stromizna. Jednak świadomość, że to już niedaleko, zawsze pomaga w takich razach. Powoli ale systematycznie podążaliśmy pod górę. W pewnym momencie zauważyliśmy jakiś dym. Okazało się, że organizatorzy

spotkania pomyśleli i rozpalili ognisko nieco wcześniej, tak by przychodzące grupy zarówno z Kowar jak i Karpacza, mogły od razu zagrzać się czy napić ciepłej herbaty. Wspaniale.

Szybko rozgościliśmy się w sporej wiacie postawionej przy potoku. Powitaliśmy znajomych, którzy przyszedli z grupą podążającą z Karpacza i po skosztowaniu serwowanej przez kucharzy kwaśnicy grzaliśmy się przy ognisku piekąc kiełbaski. Po chwili stwierdziliśmy ze zdziwieniem, że mimo takiej nieciekawej pogody, jest nas tutaj kilkadziesiąt osób. Zrobiło się gwarno. Wszyscy byli zadowoleni. Gdy nadeszła najważniejsza chwila zapalono lampę naftową by widoczny ogień symbolizował pojawiające się w tym miejscu, po zimowej nieobecności, słońeczko. Okazało się jednak, że prawdziwe słońce także wyszło zza chmur. Co prawda tylko na chwilę ale wywołało to prawdziwą radość obecnych tu osób.



Na Skalnym Stole. Foto: Krzysztof Tęcza

Patrząc na pogodę postanowiłem zrealizować swój pierwotny plan dotarcia jak najwyżej. Porozmawiałem z innymi i ruszyłem dalej tylko z jedną osobą. Była to Ela. Niestety pozostali turyści nie byli pewni swoich sił. Nie było zatem sensu ryzykować ich zdrowia. Przeszliśmy po kamieniach przez koryto Maliny i po obejrzeniu fundamentów istniejących tu kiedyś zabudowań weszliśmy na ścieżkę prowadzącą przez las pod górę. Początkowo nie zdawaliśmy sobie sprawy, że jest tak stromo ale gdy po jakimś czasie przystanęliśmy by spojrzeć za siebie dotarło to do nas. Staliśmy na niemalże pionowej ścianie. Patrząc w dół mieliśmy wrażenie, że znajdujemy się w powietrzu. Aż przyłgnęliśmy do zbocza i nieświadomie chwyciliśmy się gałęzi rosnących tu choinek. Patrząc pod górę byliśmy przerażeni stromizną. Praktycznie po wyciągnięciu ręki dotykaliśmy ścieżki, którą mieliśmy pójść. Coś niesamowitego. Dzięki jednak spojrzeniu na roztaczający się z tego miejsca wspaniały widok doszliśmy do przekonania, że warto iść dalej. Trzeba tylko być nieco bardziej ostrożnym. Po jakimś czasie zauważyliśmy schodzących z góry turystów. Ucieszyliśmy się. Wszak jak oni idą z góry to na pewno wszystko jest w porządku. Niestety ci, nie wiem czy chcąc nas przestraszyć, czy zniechęcić do dalszej drogi, mówili że warunki panujące wyżej są fatalne. Zachęcali nas do zawrócenia. Kolejni schodzący mówili to samo. Zaczęliśmy się zastanawiać co dalej. Uznaliśmy jednak, że jak już dotarliśmy tak wysoko warto zrealizować nasze założenia. Gdy tylko minęli nas ostatni schodzący

ruszyliśmy dalej. Wkrótce pojawiły się pierwsze oznaki zimy. Początkowo były to małe skrawki lodu i zmrożonego śniegu. Zaraz jednak wszystko było białe. Raptownie zrobiło się zimno. Zaczęliśmy się ubierać w cieplejsze rzeczy. Do łaski powróciły grube czapki.

Dalsza droga okazała się coraz bardziej niebezpieczna. Im wyżej tym bardziej trzeba było uważać. Zrobiło się tak ślisko, że trzeba było przytrzymywać się wszystkiego co było w pobliżu. Coraz częściej podchodziliśmy na czworaka. Lepsze to niż bolesny upadek. Klucząc tak pomiędzy kosówką a choinkami dotarliśmy w końcu na samą górę. Wyszliśmy na Skalny Stół. Pokonaliśmy prawie czterysta metrów przewyższenia. Postanowiliśmy zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie. Rozstawiłem statyw, zamontowałem aparat i w momencie gdy usiedliśmy przy usypanym tu z kamieni kopczyku wiatr porwał zarówno statyw z aparatem jak i nasze plecaki. Rzuciliśmy się do ratowania naszego wyposażenia. Popakowaliśmy co się dało do plecaków i wszystko znalazło się na naszych ramionach.



Chatka Słoneczna. Foto: Krzysztof Tęcza

Gdy wydawało się, że jest już dobrze, wiatr zaczął dmuchać tak mocno, że mieliśmy problemy z utrzymaniem się na nogach. Majtało nami we wszystkie strony. Musieliśmy szybko gdzieś się schronić. Ześlizgnęliśmy się zatem po kamieniach niżej tak by zasłoniły nas rosnące drzewka. Udało się, tam już tak nie wiało. Zrobiło się niesamowicie zimno. Zgrabiały nam dłonie. Nie pomogły nawet rękawiczki. Ruszyliśmy dalej w stronę chatki Słonecznej. Mieliśmy nadzieję, że tam się ogrzejemy. Co prawda nadzieje te okazały się bardzo złudne, gdyż chatka ta jest zamknięta i prawie nigdy nie ma w niej gospodarzy. W tym jednak momencie nie było to takie istotne. Ważne by do niej dotrzeć. A nie jest to wcale takie proste. Wielu ludzi błądzi tutaj. Gdy już byliśmy blisko musieliśmy zachowywać się bardziej ostrożnie. Pamiętam, że gdy byłem tu poprzednio, ostatni odcinek pokonałem niezwykle szybko, gdy potknąwszy się zaliczyłem głębę i pięknym ślizgiem na czterech literach, przelatując pomiędzy gałęziami choinek, znalazłem się tuż przed ścianą chatki. Tym razem spokojnie zesliśmy ze stromego zbocza i zaraz ujrzelśmy drewniany domek. Byliśmy tak uradowani, że prawie dobiegliśmy do niego. Niestety drzwi były zamknięte na wielką kłódkę. Trudno. Zagrzailiśmy się nieco i ruszyliśmy ponownie w kierunku szczytu. Zdecydowaliśmy się wdrapać na Skalny Stół i zejść na Przetęcz Sowią. Uznaliśmy bowiem, że zejście Sowią Doliną będzie bezpieczniejsze.

Mieliśmy szczęście, gdy wczłgaliśmy się ponownie pod kamienny kopczyk, wiatr przycichł na tyle, że w miarę spokojnie zesliśmy pierwszy odcinek szlaku i dostaliśmy się w osłonięte miejsce. Dalej nie było już problemu. Wiatr nic nam już nie mógł zrobić. Trzeba tylko było uważać gdzie stawiamy stopy by uniknąć upadku.

Wkrótce byliśmy na Przełęczy Sowiej. Skręciliśmy za znakami czarnymi szlaku turystycznego prowadzącego do Karpacza. Po chwili jednak postanowiliśmy skręcić by dotrzeć do znajdującej się w pobliżu chatki o nazwie *Puchatka*. Liczyliśmy na to, że zastaniemy tam kogoś. Niestety i ta chatka była zamknięta. Zanim jednak weszliśmy w las dopadł nas taki silny wiatr, że dosłownie przygniatał nas do zbocza. Mieliśmy wiele problemów by przejść kilkadziesiąt metrów jakie dzieliło nas od osłoniętego miejsca. Co prawda udało nam się to ale byliśmy przemarznięci do szpiku kości. Dlatego chętnie skorzystaliśmy z osłoniętego miejsca, w którym chatkowicze postavili stół i ławkę. Przekąsiliśmy co nieco i napiliśmy się ciepłej herbaty. Dobrze, że zabraliśmy z sobą termosy. Bez tego byłoby bardzo ciężko. Podziwiamy zwisające sopele i patrzymy jak pięknie pada śnieg a właściwie jak mocno wiatr targa opadającymi płatkami. W tym momencie przychodzi nam do głowy tylko jedna myśl: Jaką piękną zimę mamy tego lata! Bo ta prawdziwa zima, tam na dole, to nie zima tylko lato.



Chatka Puchatka. Foto: Krzysztof Tęcza

Ze względu na wciąż wyjący wiatr ruszyliśmy ścieżką prowadzącą bezpośrednio w dół. Była ona co prawda bardzo stroma ale za to nie tak wietrzna. Dobrze, że nasze spodnie uszyte z porządnego materiału bo inaczej porwałyby się szybko. Tyle razy zaliczaliśmy wywrotki, że logicznym było podejmowanie ślizgów na czterech literach. Był to najbezpieczniejszy sposób zejścia tak by nie połamać sobie nóg. Doceniliśmy to najbardziej gdy dotarliśmy do zakosów. Były one tak oblodzone, że ich przejście bez upadku graniczyło z cudem.

W końcu jednak dotarliśmy do, w miarę bezpiecznej drogi prowadzącej wzdłuż *Niedźwiady* i za mostkiem, gdy ta połączyła się z *Płomnicą*, skręciliśmy w stronę *Kruczej Kopy*. Tutaj było cichutko, wiatr już nie wiał, wyszło słońce. Było bardzo przyjemnie. Szliśmy sobie spokojnie rozkoszując się „ciepełkiem”. I tak oto dotarliśmy do *Tabaczonej Ścieżki*. Pomyśleliśmy wtedy, że może jeszcze w

Budnikach trwa zabawa i zagrzejemy się przy ognisku. Nogi same przyśpieszyły kroku. W pewnym momencie widzimy jakiś samochód. To zjeżdżali z góry strażacy z Nadleśnictwa „Śnieżka”. Mijając nas pomachali nam uśmiechając się przy tym. Gdy dotarliśmy ponownie do Maliny okazało się, że nikogo tu już nie ma. Ogniska zostały pogaszone.



Piękny czarny cap. Foto: Krzysztof Tęcza

Ponieważ od czasu jak wyruszyliśmy spod chatki pogoda wciąż się pogarsza, a co gorsza, podąża wraz z nami, jakby na naszych plecach, decydujemy się iść dalej bez odpoczynku. Po chwili wiemy, że podjęliśmy słuszną decyzję. Śnieg, który padał do tej pory, zmienia się w białe kuleczki przypominające naftalinę. Tyle, że te lecące z nieba tworzą na kamieniach warstwę niezwykle śliskiego błota. Mimo wszystko musimy bardzo zwolnić kroku. Co tam zimo, co tam mokro, bezpieczeństwo najważniejsze. Gdy wreszcie wychodzimy na normalną leśną drogę wiemy, że już wygraliśmy wyścig z depczącą nam po piętach zimą. Pojawiły się nawet promienie słoneczne. Niestety było to tylko złudzenie. Zaraz wszystko wróciło do normy. Ponownie zaczął sypać śnieg, tyle że płatki stawały się coraz większe i większe. Były też coraz bardziej mokre. W kilka minut wyglądaliśmy jak bałwany. Śnieg tak nas oblepił, że musieliśmy przystanąć by otrzepać się z niego. Nie szło bowiem iść. Gdy tylko doprowadziliśmy się do porządku wyszło słońce i zrobiło się przejrzyste. Ledwie jednak ruszyliśmy jak nie huknie, aż nas przygięto do ziemi. Co to? Wygląda, że to pierwsza w tym roku prawdziwa burza. Grzmot utrzymywał się jeszcze przez dobrą chwilę. Nie dostrzegliśmy jednak błyskawicy. Nie ma co – pomyśleliśmy, trzeba wracać do domu. Nawet pasący się na łące czarny cap nas nie zaciekał. Przyspieszyliśmy kroku. Zwolniliśmy dopiero wtedy, gdy ujrzeliśmy pierwsze zabudowania Kowar. Nawet niebo rozjaśniło się w tym momencie. Znowu było fajnie. Zmieniło się to raptownie gdy tylko wsiedliśmy do samochodu. Momentalnie zaczęło sypać i wiać. Byliśmy szczęśliwi, że to już koniec dzisiejszego spaceru. Uświadomiliśmy sobie wówczas, iż w dniu dzisiejszym przeżyliśmy wszystkie pory roku.

Krzysztof Tęcza